

*Gramatyka języka polskiego, dla użytku szkół elementarnych, ułożona p. Władysława Lercla. Kraków. 1869. str. 115.*

Gdy w roku 1863 Dr. Antoni Małecki ogłosił swoją „Gramatykę języka polskiego,” Biblioteka Warszawska zamieściła kilka o niej recenzyj, w téj liczbie Ign. B. (w grudniu 1863 r.). Nie wchodzimy w rozbiór zarzutów robionych uczonemu professorowi, bo te do rzeczy na ten raz nie należą; nadmienimy tylko, że z powodu recenzji p. Ign. B., wykazującej potrzebę sprostowania niektórych hypotetycznych twierdzeń i *uelementaryzowania*, jak się wyraził, całości dzieła, skoro ono ma być podręczną książką naszej uczącej się młodzieży, Dr A. Małecki w stanowczych słowach (styczeń 1864) odwołał się do moralnych praw własności literackiej i zabronił komubądź obcemu „elementaryzowania” gramatyki swojej. Takie *acerbum dictum* miało pożądaną dla Dra A. M. skutek, nikt tu u nas nie odważył się iść drogą uprawianą dziś tak nie fortunnie przez p. Jagielskiego, każdy uszanował własność literacką. Jakkolwiek przeto tu i owdzie wprowadzono gramatykę Małeckiego, sumienni wszakże nauczyciele w prawdziwym nieraz byli kłopotcie: jak się wywiązać z tylolicznych wątpliwości i trudności, tak często napotykanych przy wykładzie języka podług systemu Małeckiego; prostém następstwem czego było zarzucanie téj gramatyki i szukanie innych dróg, więcój odpowiednich względem pedagogicznym, tém bardziej że nie długo potem wystąpił na arenę naukową autorytet kiedza Malinowskiego, z którym się z konieczności rachować potrzeba.

Obecnie zacytowana gramatyka p. Wład. Lercla obiecuje nam więcój, niżliśmy marzyć mogli; bo gdy u nas widziano trudności do wykładu gramatyki Małeckiego w szkołach średnich, autor nowego dziełka napisanego na podstawie Małeckiego, przeznaczają do użytku szkół elementarnych. A co najważniejsza, w przedmowie wyznaje, że wydał pracę swoją „za wiedzą i upoważnieniem W-go. Dra. A. Małeckiego.” Nie zwrócilibyśmy może wcale uwagi publicznej na wspomnianą książeczkę pana W. L., ale ponieważ ostatni względ może nie jednego zaciekawić, jak zaciekawiał nas samych, a autorytet Małeckiego może wielu w błąd wprowadzić, co do istotnej wartości téj pracy, uważamy za stosowne podać krótką ocenę tego dzieła.

Mażto być owa „uelementaryzowana” Gramatyka Małeckiego, jakiej autorstwa i własności bronił uczony professor? Wątpimy bardzo... a lubo nie zdarzyło się nam dotąd nigdzie przeczytać, jaki jest sąd *naukowy* samegoż Małeckiego o dziełku pana W. L., prawie jesteśmy gotowi zaręczyć, że się przyznać do niego nie zechce, a przynajmniej nie powinien... Książeczka ta bowiem nie ma żadnego ani naukowego, ani elementarnego, ani jakiegobądź pedagogicznego znaczenia; jest mozaiką suchych, bezbarwnych ter-

minów; niespojnych i bezcelowych podziałów; dziwacznych określeń, pełnych sprzeczności najmocniej rażących, w którychbyśmy napróżno szukali ducha języka polskiego. Przykro jest, zaprawdę, pomyśleć, że ci oto, którzy stać winni na straży czystości, jasności i nieskazitelności mowy, sami na takie bezdroża wpadać mogą i zamącać młode umysły jałowemi terminami bez sensu, bez celu, bez treści!

A potrzebaż dziś jeszcze po Piramowiczu, dowodzić komubądź, że napisać książkę elementarną jest w pewnym względzie trudniej, niż dzieło naukowe ułożyć; wtajemniczeni tylko a prawdziwi kapłani naukowci, posiadający niezaprzeczony talent jasności pedagogicznej, znajomości natury dziecięcej, mogą godnie się wywiązać z tej skromnej napozór, a tak w istocie ważnej pracy, jak książka elementarna. Wykład zaś najważniejszej ze wszystkich nauk elementarnych, nauki języka ojczystego, traktowany być powinien z możliwą bacznością, bo nauka ta rzucić ma w umysł dziecięcy nasiona pierwszorzędnej ważności. Wpłynąć ona może na dodatni lub ujemny kierunek intelektualny, to jest, albo zdoła rozbudzić działalność władz umysłowych, przez szczęśliwe stopniowanie zainteresowania obudzić zamiłowanie do nauki głębszej; albowiem mdłym, konwencyonalnym traktowaniem rzeczy od razu zniechęci umysł dziecka. Dla uniknięcia tej zgubnej rutyny, przy wykładzie języka ojczystego jedynie właściwą metodą, podług naszego przekonania, jest metoda przyrodzona, genetyczna. Od Wursta poczynawszy, ileżto dzieł mamy w tym kierunku, nietylko w niemieckiej, ale we wszystkich prawie literaturach europejskich! U nas tylko panowie prawodawcy językowi wołają zawsze *antiquo more* bawić się w subtelności etymologiczne i wypychać w umysł nieprzysposobiony całe swoje scholastyczne ruszowanie, poczynawszy od owego sakramentalnego: „gramatyka polska jestto nauka, obejmująca prawidła dobrego językiem polskim mówienia i poprawnego pisania” (dlaczegoż i nie czytania?) i stopniowo, albo i wcale bez stopniowania wciskać w głowy dziecinne rozmaite głosownie i pisownie, przybranki i przydawki, deklinacye i konjugacye, z ich źródłosłowami i zakończeniami, z ich spółkami i trybami przypuszczającymi... Ciekawym, czy był gdzie na świecie taki nowy Pestalozzi polski, któryby potrafił dziecku w rozumny sposób udostępnić chociażby jedno tylko z tego wszystkiego, chociażby ów tryb przypuszczający? Bo wszak w szkole elementarnej nie chodzi wcale o zasób surowego materiału naukowego, ale o rozwijanie władzy myślenia za pośrednictwem logiki języka, przy używaniu zaś metody analitycznej, dopięcie celu tego jest prostym niepodobieństwem. Czyż nie jaśniej i stokroć naturalniej zacząć wykład od tego, co istotę gramatyki stanowi, od myśli i ich obłocza, to jest od zdań, ich kształtów i treści wewnętrznej. Metoda genetyczna jest tak wprost do celu trafiająca, tak zespólna z koniecznym przy nauce języka czytaniem wypisów, w tak przyrodzony sposób wprowadza ucznia do przybytku wiedzy, że dziwimy



się bardzo tym wszystkim, którzy uporeczywie trzymają się ścieżek staroświeckich. Wynikiem tego jest owo powszechne zniechęcenie młodzieży do téj najżywotniejszej nauki, a za tę apatyą, a może i za dzisiejszy rozstrój na polu językowém, odpowiedzą przed Bogiem i przed potomnością panowie twórcy podręczników elementarnych, jakoteż i ci może, co sterując oświacie ludowej, stygmat swojego „*imprimatur*” kładną na nich. Tém mocniej zarzut ten dotkliwy ciężać powinien na takich dziełkach, jak pana W. L., które naprzedce w ciągu kilku dni jako tako się zszywają, bez myśli głębszej, bez prostej oględności, by wytłumaczyć dziecku, co za myśl przywiązywać mamy do tego lub owego terminu; bez takiej nawet koniecznej oględności, by mówić o tém tylko, co się przydać może w ciągu opowiadania dalszego, a zamilczć o tém, co nie będzie miało zastosowania.

Żeby nas wszakże nie posądzono, że ogólnikowe wypowiamy zdanie, na faktach nie oparte, poprzemy ocenę naszą kilku dowodami, z dziełka zaczerpniętymi.

Głosownia, nie tylko jak na elementarne dziełko, napisana za obszernie, ale nadto niema ona najmniejszej spójni z całym układem gramatyki, niema zastosowania ani przy rzeczownikach, ani przy słowach. Rodzi się tedy pytanie: po co dziecko mozolić się ma nad tą głosownią, skoro ona przydatną do niczego nie jest? To niebaczne pominięcie było przyczyną, że deklinacje rzeczowników, ich odmiany, są najzupełniej dowolne. Myślący uczeń nie rozwiąże kwestyi: dlaczego w pierwszej odmianie w spadku 7, jeden rzeczownik kończy się na *e*, drugi na *u*; w trzeciej na *e* i *i*; w pierwszym spadku 1. m. na *y* lub *e* i t. d. Jeszcze większej nieudolności i niedbalstwa w układzie przedstawiają słowa: na str. 45 przy wyliczaniu czasów jest czas teraźniejszy, a wcale nie spotykamy czasu *obecnego*; znalazł się on na str. 53 (plótlbym) lub na 59 (byłbym bity) i t. d. Przy czém nie widzimy, jakaby to być mogła różnica czasu obecnego od teraźniejszego? Toż samo stosuje się do czasu *minionego* (str. 68), o istnieniu którego na str. 45 nie daje pan W. L. żadnej wiadomości; zjawia się on, jak *Deus ex machina* przy odmianie bezspójkowej. O téj spójce mówi coś tam wprawdzie p. W. L., ale nie widzimy wcale, po co ten termin figuruje w dziełku, gdy żadnego zastosowania przy odmianach czasowników foremnych nie wykazuje. Cała przeto podstawa czasowania słów z ich klasami i odmianami bezspójkowemi, jest dowolnością, której nigdzie nie usprawiedliwił autor. Możeby p. W. L. chciał się powołać na autorytet Małeckiego, z którego gramatyki wyjął swój szkielec; ale mu odpowiedziemy, że w gramatyce Małeckiego, lubo nie elementarnie wyłożone, ale czytamy podstawy naukowe do tego systematu; a p. W. L. wprowadzić tych zasad do pisemka swego nie potrafił. Zabawnie téż wygląda, że tylko na str. 48 t. j. przy słowach mówi autor o źródłosłowie i zakończeniu, jak gdyby tego nie było w rzeczownikach, jak gdyby np. ów szemat na str. 12 był czémś inném, jak wykazem zakoń-

czeń? Źródłosłów zwłaszcza umiłował sobie wielce p. W. L., bo daje aż dwie jego definicje: na str. 48 i 51: obie zaś do siebie tak podobne, jak hyppopotam do muszki mikroskopijnej... Wy tłumaczenie znowu *pierwiastka* jest tak mgliste, że żadne dziecko tego nie zrozumie, bo p. W. L. mówi tam o „grupach” i „familiach” wyrazów, nie pofatygowawszy się gdziekolwiekbyś wyjaśnić, co to są te *familie*? W ogólności, w całym dzietku pełno jest terminów nie wyjaśnionych nigdzie w toku opowiadania; jak np. na str. 1 i na 10 *odmiana*; na str. 2 samogłoski „*pochylają się*,” na str. 7 mowa o *formie* wyrazów; na str. 108 imiona *spolszczone* i *niespolszczone* i t. d.

Chcąc sądzić o wartości składni, dość przeczytać określenia zdań względnych i zdań zależnych, które w całym identyfikującej przedstawiają się postaci, jak to wykazują przykłady: Bóg, który niebo i ziemię stworzył z niczego, jest wszechmocny. Dom, który od ciebie kupilem, spalił się przed rokiem (str. 100 i 101); toż samo można powiedzieć o zdaniach wtrąconych i nawiasowych. Nie widzimy tu nigdzie wyjaśnienia stosunku zdań do siebie, nie widzimy ugrupowania zdań w ciągłej treści, i t. d. gdy, dość powiedzieć, że w całym dzietku wspomnienia nie ma o okresie. Za to czytamy coś tam o znakach przestankowych, na str. 113 mówi autor, że myśl skończona oddziela się kropką; a w jakich postaciach myśl ta wyrażać się może i kiedy może być skończoną, wiadomości o tém nie ma. Piramidalny nonsens czytamy na str. 108 o pisowni wyrazów cudzoziemskich. Powiada pan W. L., że „imiona spolszczone piszą się tak jak je po polsku wymawiamy, niespolszczone zaś tak, jak się we własnym języku piszą.” I daje taki przykład, że *Wolter* trzeba pisać po polsku, a *Rousseau* po francuzku?... Dlaczego „Rousseau” ma być gorszy od „Woltera,” niech będzie mądry kto zgadnie? Co do nas, to przyznać musimy, że nadaremno mozoląc sobie głowę nad tą arcsubtelną zasadą, nie potrafiliśmy jęj zastosować nawet do nazwiska autora gramatyki: jak je w istocie podług tego pravidła odczytać potrzeba: „Władysława Lerela,” czy też „Leręla,” gdyż brzmi ono z francuzka; a któż tam wiedzieć zdoła, czy nazwisko to do „spolszczonych,” lub też do „niespolszczonych” należy? Nie od dzisiaj studiując polszczyznę, sądziłem, że czytać przynajmniej porządnie się nauczyłem po polsku, autor nowej gramatyki elementarnej i tę skromną wiarę nielitościwie wytrącił nam z serca...

W ogólności bolejemy mocno nad biedną młodzieżą, która z tak lichych okrawków czerpać ma zasoby do znajomości języka polskiego.

Antoni Bądzkiewicz.